

# Aba Poland – tych lubiliśmy!

Radosław Malinowski

Losy polskich uchodźców w Afryce są mało znanym epizodem historii II wojny światowej. W samym sercu tego kontynentu, pod równikiem, schronienie znalazło 18 tys. Polaków – ofiar stalinowskiego terroru. Zostało po nich niewiele śladów – wioski rozebrano, cmentarze zarosły tropikalną roślinnością. Dopiero teraz pamięć po naszych rodakach na Czarnym Łądzie powoli powraca...



Fot. R. Malinowski

► Maria Sapieha

„Pamiętam twoich rodaków. To było dawno, jak byłem małym chłopcem. Pamiętam ich dobrze, jak żyli i umierali między nami w czasie wielkiej wojny. Nie, nie Brytyjczycy, tylko Aba Poland, Polacy. Przywieziono ich tutaj, do Afryki, a po wojnie odesłano do domu. Ale nadal można znaleźć groby tych, co tu umarli. Groby polskich uchodźców w Afryce Wschodniej. To byli inni biali niż Brytyjczycy, my lubiliśmy ich, a oni nie sprawiali nam kłopotów. Również ich język był inny – dźwięczny, ale niesłychanie trudny. No, i najważniejsze: oni byli prawie tak samo biedni, jak my” – opowiadał Amerykaniec polskiego pochodzenia Edward Wakiku, starszy Ugandyjczyk.

## Od lodów Syberii po brzegi oceanu

Wędrowni Polacy zazwyczaj zaczęli się podobać – na Kresach II Rzeczypospolitej, które we wrześniu 1939 roku znalazły się pod okupacją Sowiecie.

– Mój dziadek był w czasie międzywojennym ministrem spraw zagranicznych, dlatego już pięć dni po wkroczeniu Sowiecie do Polski został wywieziony na Łubiankę i skazany na śmierć, a po interwencji rządu polskiego przewieziony do pracy przy Kanale Białomorskim – wspomina Maria Sapieha, jedna z nielicznych potomkini polskich uchodźców, którzy pozostali w Afryce.

„Wszystko odbyło się wg schematu: w nocy łomot do drzwi, sprawdzenie tożsamości [...] i rozkaz: *sobirajsia s wieszczami* [ros. zabieraj się z rzeczami]. Póź-

niej załadunek do bydzących wagonów i podróż w nieznane” – wspominała dwa lata temu w kwartalniku „Zesłaniec” Danuta Sedlak, w czasie zsyłek – trzylatka.

To „nieznane” oznaczało mroźne lasy Syberii lub pustkowia Kazachstanu. Wielu nie przeżyło kilkutygodniowej podróży, a ci, co dotarli na miejsce zsyłek, umierali z głodu, padali ofiarami niegościnnego klimatu, chorób lub katorżniczej pracy. Ich los się zmienił, gdy Związek Radziecki został zaatakowany przez swojego dotychczasowego sojusznika – hitlerowskie Niemcy. Na mocy układu Sikorski–Majski zawartego w 1941 roku, Polakom w Związku Radzieckim pozwolono na sformowanie sił zbrojnych. Za wojskowymi przemieszczały się ich rodziny, gotowe na każde wyrzeczenie, byle tylko wydostać się z sowieckiego piekła.

Z Kazachstanu za Armią Andersa zostali przetransportowani przez Morze Kaspijskie do brytyjskiego Iranu. Tam dla wielu ponownie rozpoczęła się wielka wędrówka w nieznane. Emigracyjny rząd polski, w porozumieniu z rządem brytyjskim i przy wsparciu organizacji charytatywnych (*Middle East Relief and Refugee Administration* – MERRA), rozpoczął rozsyłanie polskich tułaczy po różnych zakątkach Imperium Brytyjskiego oraz innych państw, które zgodziły się przyjąć wygnańców. Największą grupę wysłano do Afryki.

Początkowo Polacy protestowali przeciwko takiemu akurat przesiedleniu. Prawdopodobnie nikt wtedy jeszcze nie przypuszczał, że kiedy za kilka lat bry-

tyjskie władze kolonialne zarządzą, by polscy uchodźcy opuścili Czarny Łąd, Polacy też będą się sprzeciwiać...

Sybiracy nie byli pierwszymi Polakami, którzy trafili do Afryki w czasie II wojny światowej. Już w 1941 roku na tereny Rodezji – dzisiejszego Zimbabwe – dotarła grupa Polaków, związanych głównie z sanacją, którym udało się przez Rumunię i Węgry dostać się na Cypr, a których rząd Sikorskiego nie chciał wpuścić do Francji. To o nich wspomina Melchior Wańkowicz w książce *Zupa na gwoździu*. *Doprawiona*: „Teraz, kiedy wszyscy mieli się zarzucić na te tysiące kilometrów pod równik, w nieznany Czarny Łąd, wszelka nadzieja z tym wzrostem pracy znikła. Dwunastoletni chłopak, mocno piegowaty i nieznośny sowizdrzał, mówił z przejęciem: »Bo my jedziemy popodrównik, proszę pana...«. «Owo »po-pod-równik« brzmiało, jakby mówił o jakiejś fizycznej zaporze, klapie, która nieodwołanie się zamknie na jakieś bardzo mocne rygle”.

Chociaż w czasie transportu przez Ocean Indyjski cały czas istniało zagrożenie atakiem niemieckich lub japońskich łodzi podwodnych, polskim wygnańcom udzielił się dobry nastrój. Danuta Sedlak w „Zesłańcu” z 2009 roku wspominała: „Halinka (siostra) ani ja nie miałyśmy poczucia zagrożenia, ►



Fot. zbiory Edwarda Waklika

► Rozliczenie rachunków zmarłego Polaka w Afryce, 23 grudnia 1949 roku

mama była z nami, nie byliśmy głodne i mogłyśmy zachwycać się ławicami latających ryb”.

Kiedy okręty transportowe dotarły do portów Afryki Wschodniej, polscy uchodźcy byli rozsyłani do przygotowanych (lub przygotowywanych) dla nich osiedli. Pierwsze widoki Czarnego Łądu

wywołały piorunujące wrażenie na osobach, które dopiero co opuściły syberyjskie piekło.

Krystyna Pryjomko-Serafin wspominała: „Afryka to mi się wydaje, że to jest niebo na ziemi, że tak wygląda niebo. Bo jak przyjechaliśmy do Tangi, to wsiedliśmy na pociąg do Tengeru. W Tengeru było takie przyjęcie dla nas wszystkich, był stół zastawiony owocami, kwiaty, pięknie, kolorowo było, ciepło,

to był raj na ziemi” (cyt. za:

H. Chudzio, *Z Syberii na Czarny Łąd. Polskie osiedla w Afryce Wschodniej i Południowej w latach 1942–1952*).

Podobnie zafascynowana kontynentem była Józefa Bielinowicz: „No, Boże, wszystko kwitnie, bo w Afryce prawie każde drzewo kwitnie. Naprawdę to było oszałamiające” (cyt.: jw.).

W Ugandzie zamieszkało 6446 osób. Rozlokowano ich w trzech osiedlach: Koja, Masindi i Kampala. W siedmiu osiedlach Tanganiki (dzisiejsza Tanza-

nia) umieszczono 6631 osób, przy czym w największym z nich, Tengeru, przebywało 4018 Polaków. Najmniej, bo 290, zamieszkało w Kenii. Wraz z uchodźcami wysłanymi na południe kontynentu liczba Polaków w Afryce przekroczyła 18 tys. Trzeba jednak zauważyć, że liczba ta ciągle się zmieniała – część Polaków umierała na skutek chorób tropikalnych, część została wcielona do wojska czy formacji paramilitarnych. Jednocześnie stale przybywali nowi uchodźcy. Paradoksalnie, po zakończeniu działań wojennych liczba Polaków w Afryce Wschodniej wzrosła.

### Ryzykowne zabawy

Często Polacy nie byli przygotowani do życia w innym klimacie i popełniali błędy, które mogły kosztować ich życie. Danuta Kość, mieszkająca w osiedlu Masindi, wspominała w „Zesłańcu” z 2011 roku: „Pamiętam też szkolną wycieczkę nad jezioro Alberta. Ponieważ umiałam dobrze pływać, niewiele myśląc, wskoczyłam do wody. To była chyba największa głupota, jaką zrobiłam. Później, już po kąpielii, zobaczyliśmy w jeziorze hipopotamy i krokodyle. Dowiedzieliśmy się też, że w niektórych jeziorach Afryki żyją bakterie bardzo groźne dla ludzkiego organizmu. Na szczęście – nikt z nas wtedy nie zachorował”.

Wielu Polaków podzielało pływacką pasję pani Danuty – niektórzy zapłacili za to życiem, zaatakowani przez krokodyle. Ale udało się też złapać i unieszkodliwić kilka z tych gadów.

Najczęstszą jednak przyczyną śmiertelności wśród wygnańców nie były dzikie zwierzęta, lecz tropikalne choroby, takie jak żółta gorączka, malaria, i inne powodowane przez pasożyty. Aby im zapobiec, wiele osób zostało przeniesionych w rejony, w których klimat był łagodniejszy, a choroby – zwłaszcza malaria – nie zbierały takiego żniwa. Takim specjalnym miejscem dla rekonwalescentów było utworzone w 1945 roku osiedle Rongai – położone w Kenii, na samym równiku, niedaleko Nairobi.

Dzieci znalazły się w wymarzonej miejscy do zabawy: Janina Lewszuk,



Fot. zbiory Edwarda Waklika

► Z upolowanym krokodylem; za dzieckiem Andrzej Paczyński

mieszkanca Tengeru, opowiadała: „No, my się bawiliśmy jako małe dzieci w dżungli. Biegaliśmy, takie były zarośla wysokie, i takie jakby tunele. I my tymi tunelami. I ja nie wiem, jak to było, przecież tam węże były. I my biegaliśmy i tam się bawiliśmy i ja nie pamiętam, nie baliśmy się” (cyt. za: H. Chudzio, *Z Syberii na Czarny Łąd...*).

Danuta Sedlak z kolei wspominała w „Zesłańcu”: „Tyle rzeczy w tej Afryce nas dziwiło i zachwycało. Nocne dźwięki tam-tamów z początku nas przerażały, podobnie jak Masajowie z nieodłączonymi dzidami i maczetami. Kiedyś była inwazja żarłoczych mrówek, które maszerowały wprost na nasz dom. [...] Pamiętam nalot szarańczy, które grubą warstwą pokryły wszystko dookoła, a Murzyni z wielką wprawą odrywali insektom skrzydełka i zjadali się odwłokami”.

Często dochodziło do zabawnych sytuacji z udziałem Polaków i Afrykańczyków. Pewnego dnia para polskich dzieci podróżująca rowerem po okolicy straciła panowanie nad jednośladem i z wielkim hukiem wjechała w sam środek murzyńskiej wioski, powodując krakę i... salwy śmiechu.

Życie w osiedlach było wolne od monotonii. Wydawano polskie czasopisma, działały drużyny harcerskie i inne organizacje młodzieżowe, szkoły, stowarzyszenia. Jednocześnie pamiętano, że trwa wojna, i mieszkańcy byli zdyscyplinowani. Każde osiedle miało swojego komendanta. Wyjazd do innej miejscowości wymagał specjalnej przepustki. Mimo to starano się prowadzić normalne życie – w miarę upływu czasu osiedla były coraz piękniejsze – mieszkańcy sadzili kwiaty, zakładali ogródki warzywne, w których hodowali między innymi ananasy, papaje, ale także kapustę. Ta ostatnia zresztą stała się przyczyną regularnych najść hipopotamów, które okazały się wielkimi amatorami tego warzywa.

### Raj utracony

Likwidacja polskich osiedli rozpoczęła się po wojnie. Komunistyczne władze Polski zaczęły zachęcać uchodźców do

powrotu. Oczywiście, mając w pamięci gehennę w „komunistycznym raj” ZSRR, niewielu było chętnych na powrót do kraju. Rodziny wojskowych mogły wyjechać do Wielkiej Brytanii. Wielu wybrało Kanadę, Australię i inne państwa wolnego świata. Była też spora grupa Polaków, która chciała osiedlić się w Afryce Wschodniej na stałe, ale na to Brytyjczycy nie wyrazili zgody.

– Anglicy bali się dużej grupy białych; biednych, a do tego dość dobrze zintegrowanych z lokalną ludnością. Pozwolono zostać tym, którzy mieli przydatne umiejętności, jak pan Piórkowski – z zawodu masarz, pan Nowicki – znany rajdowiec czy Jan Gębiś – zegarmistrz. Resztę, niekiedy siłą, załadowano na statki – opowiada Maria Sapięha. Ostatnie polskie osiedle zostało zlikwidowane w 1952 roku.

Po polskich uchodźcach zachowało się niewiele śladów – w Polsce rządzonej przez komunistów afrykański wątek w naszej historii był tematem tabu. Historie kresowych wygnańców były wszak żywym dowodem sowieckiej agresji i komunistycznych zbrodni popełnionych na obywatelach II Rzeczypospolitej. Jak wspominają sami zainteresowani, w powojennej Polsce jedynym akceptowalnym wyjaśnieniem historii z ich dzieciństwa było oświadczenie: „Znalazłam się w Związku Radzieckim w związku z niemieckimi działaniami

Fot. prywatne zbiory Domu Sapięhów



► Księżę Eustachy Kajetan Sapięha (z fajką) podczas wojny – jako przedstawiciel Czerwonego Krzyża

wojennymi”. Władze Polski Ludowej nie wykazały również żadnego zainteresowania pozostałościami po polskich osiedlach, licząc, że czas i klimat zetrą ślady po Polakach.

W Afryce władze kolonialne zezwoliły na pobyt jedynie wybranym osobom. Polskie wioski zostały rozebrane zaraz po wyjeździe Polaków, cmentarze zarosły tropikalną roślinnością. Smutny los spotkał cmentarz w ugandyjskiej miejscowości Koja, gdzie lokalny potentat w latach osiemdziesiątych postanowił zamienić nekropolię i okoliczną ziemię w pole uprawne. Przedsięwzięcie, z powodu braku zainteresowania władz PRL i niezrozumienia historii przez władze niepodległej Ugandy, zakończyło się pełnym sukcesem. ►

► Informacja o zgonie jednego z mieszkańców polskiego osiedla



Fot. zbiory Edwarda Wakiku

Dopiero polscy misjonarze, przy współpracy z lokalnymi pasjonatami, a po 1989 roku przy pomocy polskich dyplomatów, zaczęli opiekować się pamiętkami po Polakach. Wśród Ugandyjczyków szczególnie należy wyróżnić Edwarda Wakiku, który opiekuje się polskim cmentarzem w Koji i nierzadko za własne pieniądze odzyskuje pamiętki po polskich uchodźcach, które następnie trafiają do lokalnego muzeum im. Adama Chłopickiego. Ciekawą inicjatywą była też misja Uniwersytetu Pedagogicznego z Krakowa pod przewodnictwem dr. Huberta Chudzi. Pracownicy naukowcy i studenci zajęli się dokumentacją i renowacją trzech największych polskich cmentarzy w Tengeru (Tanzania) oraz w Koji i Masindi (Uganda). Dwa z nich zachowane były w dobrym stanie, ale nekropolia w Koji była bardzo zdewastowana. Z uczestnikami wyprawy z Krakowa współpracował ks. Ryszard Józwiak, polski salezjanin przebywający na misji w Ugandzie. Po częściowej rekonstrukcji cmentarz w Koji został uroczysto otwarty 4 listopada 2012 roku.

Do Afryki z radością wracają też sami Sybiracy. Z nostalgią odwiedzają pozostałości po czasach ich dzieciństwa. Odnajdują miejsca zabaw, drzewa, które

zasadono kilkadziesiąt lat temu – dziś prawdziwe afrykańskie olbrzymy.

Uwadze byłych uchodźców nie umknęła też trudna sytuacja materialna miejscowej ludności. Podjęli różne inicjatywy charytatywne. Na przykład Krystyna Pryjomko-Serafin zaczęła organizować pomoc dla dzieci więźniarek w Tanzanii. Sami Sybiracy nie traktują tego jako czegoś niezwykłego – raczej jako spłatę długu za gościnność, którą Afryka okazała przed laty polskim przybyszom.

Do nielicznych Polaków – potomków uchodźców w Afryce – należą przedstawiciele arystokratycznego rodu Sapienhów: Maria (Maryjka) Sapienha-Beckmann i Katarzyna Sapienha. Ich dziadek, książę Eustachy Kajetan Sapienha, był w grupie uchodźców przybyłych z Syberii do Afryki Wschodniej. Jako przedwojenny minister spraw zagranicznych nie miał możliwości powrotu do Polski opanowanej przez komunistów. Jednocześnie, z racji piastowania funkcji reprezentanta Czerwonego Krzyża, sprawował nadzór nad polskimi osiedlami w Afryce Wschodniej, a po ich rozwiązaniu jako jeden z nielicznych otrzymał zgodę na osiedlenie się w Afryce.

– O pozostaniu w Kenii zdecydował cudowny klimat, przyjazne nastawienie miejscowej ludności i fakt, że w Kana-

dzie, Australii czy gdziekolwiek indziej trzeba by też układać swoje życie od zera – mówi Maria Sapienha.

Do Eustachego Kajetana Sapienhy dołączył po wojnie jego syn, Eustachy Seweryn Sapienha – kawalerzysta, uczestnik kampanii wrześniowej i więzień niemieckiego obozu jenieckiego. Pierwsze lata Sapienhów w Kenii były trudne – pozbawieni swojego majątku na Kresach, zrujnowani finansowo przez wojnę, byli zdani tylko na swoją pomysłowość. Jak wspomina Maria Sapienha, to, co pomogło im przeżyć trudne lata powojenne, to dobre wykształcenie, upór i wytrwałość, wiara w lepszą przyszłość, która pozwalała przemóc nostalgię za utraconym życiem kresowym. – A najważniejsze było przekonanie, że żaden rodzaj uczciwej pracy nie jest powodem do wstydu – podkreśla pani Maria. Jeszcze dosadniej ujął to Eustachy Sapienha w swoich wspomnieniach *Tak było*: „Tylko chamstwo wstydzi się biedy”.

Sapienhowie w Kenii imali się różnych zajęć – prowadzili tartak, handlowali złomem, wydobywali rubiny, organizowali polowania czy safari. Maria Sapienha mówi: – Wrosliśmy w Kenię, która nas przyjęła i ugościła. Czuliśmy się tu jak u siebie na wsi. Nigdy nie mieliśmy poczucia bycia kimś obcym. Raczej staliśmy się tak Polakami, jak i Kenijczykami zarazem.

Losy polskich uchodźców w Afryce są odzwierciedleniem losów narodu polskiego okresu II wojny światowej – od aresztowań i prześladowań po tułaczy los, wywózkę, Syberię i zesłanie z dala od ojczyzny. Jedynym pozytywnym momentem, czasem radosnej przerwy od prześladowań, mitręgi i łez, były właśnie lata spędzone na Czarnym Łądzie. „Afryka kojarzy mi się ze szczęściem, poczuciem bezpieczeństwa, sytością. Głęboko utknęła w moim sercu. Tyle lat tęskniłam za nią, za zapachem i kolorem ziemi, przypyłami oceanu, bujną roślinnością i za tym ogromnym baobabem, za którym figlowały koczokodany” – wspominała w „Zesłańcu” Danuta Sedlak. 🍀

**Radosław Malinowski** – laureat I miejsca w konkursie „Czytelnicy do Piór”, mieszkanie Nairobi



Fot. zbiory Edwarda Wakiku

▶ Cmentarz w Koji po odbudowie, uroczyste otwarcie w listopadzie 2012 roku